



P I S M A

SEWERYNA

GOSZCZYŃSKIEGO.

TOM I.

**ZAMEK KANIOWSKI.
POEZYJE LIRYCZNE.**

LWÓW.

NAKŁADEM FRANCISZKA PILLERA I SPÓŁKI.

1838.



1978



ZAMEK KĄNIOWSKI.

POWIEŚĆ.



KILKA SŁÓW

O

UKRAINIE I RZEZI HUMAŃSKIEJ.

Jeden z celniejszych naszych poetów miał wyrzec o kaniowskim zamku: że jest pełen kozackiej haraburdy, i tem go potępił. Nie dziwię się jego zdaniu, wiedząc, że nie zna Ukrainy; ale dziwię się patrząc na jego własne godło: *kto chce zrozumieć poetę, powinien kraj jego poznać*. Powyższy zarzut i tym podobne, spowodowały mię obeznać cokolwiek publiczność z ludem, który dostarczył bohaterów mojej powieści, tudzież z wypadkami, których ona jest ustępem, a przeto zostać zrozumialszym.

Jak charakter człowieka poznajemy z jego czynów, tak charakter narodu maluje się w jego dziejach. Przebiegnę więc w krótkości wiadome

życie kozackiego ludu, a rys ziemi na której mieszka, będzie tłem obrazu.

Zajmę się głównie tak zwaną polską Ukrainą; tą częścią ziemi, którą od wschodu Dniepr oblewa, Boh od zachodu, od północy Wołyń, a od południa chersońskie stepy otaczają.

Powierzchnia kilkudziesięciu mil Ukrainy mieści w sobie najmilszą rozmaitość. Lasy i jary płaszczyzn składających większą część tej prowincyi od strony Bohu; skały nadbrzeżne z granitów, jak w okolicach Humania, Bohusławia i Korsunia; sosnowe bory, lesiste wzgórza, całe rzeki w bagnach, jak między Mosznami i Smitą, okazałe gromady wód Bohu, Dniepru, licznych stawów i kilku jezior, zaczynające się morze stepów; jednym słowem: piaski i najżyźniejsze w świecie łąny, najprzejrzystsze wody i bagna niedostępne, wesołe laski i odwieczne puszcze, ciche doliny i olbrzymie wzgórza; bory nieschodzone i stepy nieprzejrzone, zgromadziły się tu, jakby na pojednawczą przyrody ucztę. Nie dziw, że taką krainę uważam za najpiękniejszą może w dawnej Polsce: nie dziw że taka ziemia wpłynęła na swoich mieszkańców, i wypiaستowała naród mogący stanąć między najdzielniejszymi. Dosyć słyszeć jego podania, jego dumy historyczne, dosyć obejrzeć pola najeżone mogiłami, aby przystać na moje zdanie.

Za Stefana Batorego postrzegamy pierwszy ślad kozaków. Ognisko ich było przy dnipro-wych porobach, mieszkanie na obronnych wyspach. Zwali się Zaporozcami, a to miejsce Siczą. Wchodzili do ich składu ludzie rozmaitego plemienia, a żyli dziwnym obyczajem. Nie cierpieli u siebie kobiet; polowanie, rybołówstwo, napady wodą i lądem na pobliskie okolice były ich zabawą i sposobem życia. Przezorny król polski wezwał tych ludzi do swojej służby, zawarował przywileje i nadał kilka miejsc warownych nad Dnieprem, ażeby zasłaniali granice Polski przeciw Moskalom i Tatarom. Za Zygmunta trzeciego słyną po całej Europie, już to pod atamanem Konasewiczem, już jako Lisowczycy, walczący w Moskwie, a za sprawę rzymskiego Cesarza w Niemczech. Za tego też króla nietolerancya księży katolickich i nieludzkość panów dają im po raz pierwszy broń w rękę przeciw Polakom. Za Władysława czwartego wystąpił Chmielnicki, który pod Janem Kazmierzem zatrząsł potęgą Polski. Kozackie państwo składało się w ówczas z dzisiejszych gubernii Czerwiechowskiej, Połtawskiej i Charkowskiej za Dnieprem, na tej stronie Dniepru posiadało terazniejszą guberniję Kijowską i część przyległą Podolskiej. Hetman Chmielnicki poznał, co z tym ludem zrobić można i łącząc dumne własne za-

miary z jego niepodległością, rozpoczął śmiertelną walkę z Polakami. Pokonało go męstwo nasyżych ojców, ale nie umieli korzystać ze zwycięstwa. Kozacy rozdzielili się na dwoje. Większa część przyjęła opiekę Moskwy, druga przednieprzańską została niby przy Polsce. Jeżeli Polacy stracili na tem rozdwojeniu, to prawdziwie Kozacy tylko cierpieli. Opieka Moskwy groziła im co chwila zupełną zagładą. Częste było chwianie się ich Hetmanów między Polską a Moskwą; lecz nigdzie dobra nie znaleźli. Nareszcie zjawił się Mazepa. Nadzwyczajny ten człowiek zdolny był utworzyć naród potężny, gdyby kto losy mógł zwalczyć. Używszy we Szwedzkiej wojnie przeciw Piotrowi pierwszemu jawnie i skrycie wszystkiego, co tylko podstępny i waleczność podały, uległ z Karolem dwunastym szczęściu Cara. Z nim zginęła samoistność kozackiego ludu i wszelkie jego nadzieje. Niektórzy z następców Mazepy widzieli jeszcze zbawienie w Polsce i kusili się ocalić Kozaków odstąpieniem od Moskwy, ale jako zdrajcy pochwytani i potraceni. Powoli godność Hetmana została czczym tytułem; mniemanemu Hetmanowi kazano mieszkać w Petersburgu; nakoniec Państwo kozackie podzielone na gubernije, a Siczowych czyli Zaporożców zapędzono w liczbie kilkudziesiąt tysięcy nad brzegi czarnego morza, gdzie dotąd

stanowią obronną linię przeciw Czerkiesom. Zdaje się, że bunt polskich Ukraińców w r. 1768 był ostatnią konwulsją konającego ciała Kozaków. Dzieje tego zdarzenia, jako podstawy mojej powieści, są właściwie głównym przedmiotem niniejszej przemowy.

Było to w początkach panowania Stanisława Augusta. Polskę szarpał nierząd możnej szlachty, intrygi Czartoryskich i zewnętrznych dworów wpływy. Garstka prawych obywateli, czujących niedoleżność króla, i pewną pod nim zgubę kraju, utworzyła w zbawiennych zamiarach *Barską konfederacyę*. Ocknienie się Polaków zatrwożyło nieprzyjazną im Politykę; przedsięwzięto więc wszelkie środki do stłumienia konfederacyi. Nienawiść ruskiego pospólstwa ku gnębiącym go panom i spółność wiary z pograniczną Moskwą, dzielnie posłużyły do zamiaru przerażenia, a może i wytopienia polskiej szlachty, przynajmniej w ruskich prowincjach, gdzie była największa konfederatów potęga.

W połowie roku 1768 przebył Dniepr w okolicy Czehryna z kilkunastą towarzyszami, nieznanym nikomu zaporoski kozak, nazwiskiem Żelźniak; i zaraz w skutku porozumień się z popami ruskimi i pospólstwem odbyło się poświęcenie nożów, przy nocnym obrzędzie w monastyrze św. Motry, położonym samotnie wśród gór

i lasów nad Taśminą, w powlecie Czehryńskim, o mil dwie od miasteczka Alexandrówki, idąc na północ.* Niedaleko wspomnianego klasztoru leży wieś Medwedówka, gdzie jarmark następował; było to w święto Makkaweja (Machabeusza). Tłum na taki dzień zebranego pospólstwa sprzyjał zamiarowi rozpoczęcia buntu. Z wozu tedy, wśród rynku, pop ruski, przeczytał zmyślony, jak mówią, ukaz Imperatorowej Katarzyny, który obiecując wiele dobrodziejstw ukraińskim chłopom, nakazywał im wyczyszczenie pszenicy z kąkolu, to jest wytepienie szlachty, księży i żydów; przedstawił następnie tenże pop Żeliźniaka, jako mianowanego przez Imperatorowę księcia Smilańskiego i pobłogosławił rozpoczęciu rzezi.

We mgnieniu oka wszystko rzuciło się do spisu i nożów, a w krótko Ukraina cała, jakby czekała tylko hasła, zmieniła się w teatr niesłychanych mordów. Owczesny stan i położenie wojska polskiego nie mogły przeszkodzić tak nagłemu szerzeniu się buntu; zjawienie się kilku wysłańców Żeliźniaka w najodegłęjszych miej-

* Zdaje się że nie w jednym miejscu noże poświęcano. Widziałem starą drewnianą kapliczkę, należącą do jednego monastynu w puszczy Łebedyńskiej, niedaleko miasta Szpoły, gdzie podobną uroczystość odbyto.

scach Ukrainy rozniecało pożar dokoła; całe wsi szły na ich wezwanie. Polscy dziedzice nie byli także zdolni oprzeć się pojedynczem usiłowaniu; wszystko chroniło się lub za granicę Ukrainy, lub do Humania: a Żeliźniak z okrzykiem: *O! tak Lasze po Słucz nasze!** swobodnie posuwał się ku zachodowi, i bez przeszkody pod Humanem stanął.

Human, dzisiejsze powiatowe miasto w gubernii Kijowskiej, było w owym czasie przeciwnie-
ćwiczonemu wojsku miejscem dosyć warownem. Siła jego składała się z niewielu żołnierzy polskich, kilkudziesięciu pruskich, którzy tam za kupnem koni przybyli, i kilkuset nadwornych kozaków Potockiego pod atamanem Gontą; można tu dodać liczne szkoły ks. Bazylianów, i mnóstwo okolicznej szlachty zbiegłej do obronnego miasta. Ani wątpić, że z tą siłą zbrojną i swoją ludnością byłby się Human obronił, gdyby nie następna okoliczność. Szczęsny Potocki, dziedzic Humania napisał do Gonty, że mu dwie wsi daruje, jeżeli utrzyma jego kozaków w posłuszeństwie, i Human obroni. Ten list szedł przez ręce pewnego

* O tak Lachu (Polaku) nasze panowanie po Słucz. Słucz rzeka na Wołyniu, która podług Rusinów ma stanowić na wschodzie granicę udzielnego ruskiego Państwa.

Mładanowicza, zawiadującego dobrami Potockich, który go otworzył, przeczytał, a skuszony sposobnością zyskania dwóch wiosek, zataił obietnicę pana przed Gontą, i na siebie wziął całą obronę. Tymczasem Żelizniak się zbliżał. Przerażenie powszechne podsycane ciągłemi wieściami najwmyślniejszych okrucieństw dręczyło zamkniętych w samym warownym Humaniu. Gonta podejmuje się traktowania z Żelizniakiem i wyjeżdża na przeciw niego o trzy mile, do miasteczka Sokółówki; kozacy nadworni postawieni w polu dla zastony miasta. Nie długo trwała niepewność zamkniętych w Humaniu. Kozacy Żelizniaka, albo jak ich zowią, hajdamacy, pokazują się od lasku zwanego Greków i stają obozem. Gonta z nimi, a wnet i cały jego oddział przechodzi na stronę hajdamaków. Wtedy dopiero poznał Mładanowicz całą nierozmyślność swojego postępku i trudność obrony; ujmuje Gontę obietnicami Potockiego: „już za późno!” Gonta odpowiedział. Obsadzono jednak okopy, zwrócono działa nabite ku nieprzyjacielowi; wszyscy z rozpaczy chcą się do ostatniego bronić. Dwa dni przechodzą na nieśmiałych harcach ze strony hajdamaków; gotowe działa trzymają ich w oddaleniu; udają się więc do wybiegu. Gonta posyła do Mładanowicza, aby mu pozwolono wjechać do miasta dla rozmówienia się: pomimo oporu innych Mładanowicz

zezwała. Gonta przybywa pod bramy, ale w li-
czniejszym orszaku niż była wymowa; puszkarz
chciał dać ognia, Mładanowicz połą od sukni na-
krył zapal działą, Gonta wjeżdża a jego towa-
rzysze opanowują natychmiast bramę i pobliskie
działą, i ułatwiają szturm do miasta całemu
korpusowi Żelźniaka.

Pierwszy Mładanowicz padł ofiarą niedołężne-
go swojego głupstwa z rąk Gonty, który, jak sam
wtedy powiedział, robi mu tę przysługę dla tego,
że był chrzestnym ojcem jego dzieci.* Śmierć
Mładanowicza była hasłem rzezi. Niespodzie-
wany ten napad rzucił taki popłoch, że wszystko
prawie o ucieczce tylko myślało. Szczupła liczba

* Znałem jeszcze w roku 1850 jedno z tych dzieci
chrzestnych Gonty, córkę Mładanowicza. Jej tylko
brwi czarne uratowały ją od śmierci, która wtedy
całą prawie jej rodzinę zniszczyła. Gonta wziął ją
pod swoją opiekę i na trupach rodziców oddał ją za
żonę jednemu z kozaków. Wkrótce małżonka powie-
szono a jego następcą został pułkownik polski Kreps,
po którym wdowę ją poznałem. Kochana to od
wszystkich kobieta dla przyjemności charakteru, choć,
w takim wieku. Napisała pamiętniki swojego życia;
żałować by trzeba gdyby zaginęły. Są w nich cie-
kawo szczegóły dotyczące się nie tylko rzezi human-
skiej, ale wielu pierwszych domów polskich, między
które los ją rzucał.

broniących się, nie zdołała uniknąć smutnej śmierci. Broniono się jednak. Znaczna część schroniła się do kościoła Bazylianów. Dobyli go wkrótce kozacy. Rektor klasztoru ks. Kostecki miał mszę właśnie i lud wtedy błogosławił: strzał rusznicy z chóru obalił go u ołtarza. Nie było względu na świętość miejsca; nikogo nieoszczędzono. Wkrótce scena mordu, ogarnęła całe miasto. Trzy dni rzeź trwała, szesnaście tysięcy osób miało życie utracić rozmaitemi rodzajami śmierci; dziś jeszcze pokazują pod klasztorem Bazylianów miejsce ze studni, gdzie do tysiąca uczniów żywcem wrzucono i zaduszono kamieniami. Po trzech dniach przestrzeń miasta napełniona była we dnie snującymi się jeszcze za rabunkiem mordercami, a w nocy rozlegała się wyciem psów i wilków.* Obóz kozaków ciągle był za miastem, gdzie już Gonta dowodził, księciem Humaniskim obwołany, Żeliźniak zaś z czę-

* Cały niemal obraz tych wypadków zamyka się w poemacie pod tytułem: Rzeź Humaniska. Napisał go niejaki Darowski, który był w ówczas uczniem i całą rzeź przesiedziały w kopule farnego kościoła. Szacowny ten dla swojej autentyczności zabytek, w rzadkich bardzo rękopisach krąży po Ukrainie. Czytałem go w takim wieku, że go jeszcze ocenić słusznie nieumiałem.

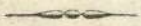
ścią korpusu poszedł dalej i przez Boh się przeprawił.

Tymczasem wojewoda Stempkowski mianowany Regimentarzem z nieokreśloną władzą użycia wszelkich środków, aby stłumić szerzące się niebezpieczeństwo, nadciągał w te strony. Z polskiem wojskiem porozumieli się teraz i Moskale na zgubę hajdamaków, nędzny koniec ich zawodu. Półkownik moskiewski szedł oddzielnie, udając że im sprzyja stanął tuż przy nich obozem, i posłał Goncie niby na znak dobrej przyjaźni złoty łańcuch, który miał znaczyć zgotowane mu kajdany, przyczem na wieczera go zaprosił. Nie zapomniano i o podwładnych. Wieczera długa, napoju do woli; nazajutrz ujrzeli się hajdamacy okutymi w kajdany wśród Polaków i Moskalów. Wkrótce nastąpiło wymierzenie kary. Była ona dopełnieniem okrucieństw jakie hajdamacy nad Polakami wywierali. Rozwożono tych nieszczęśliwych w różne miejsca i rozmaicie wymyślanemi sposoby mordowano. Gontę stracono w Humanu. Podanie twierdzi, że z nadzwyczajną stałością przenosił wszystkie męczarnie. Darto z niego pasy, ćwiertowano żywcem, zdjęto skórę z głowy, a on cały czas fajkę palił i książkę czytał, póki mu głowy nie ścięto. Żelizniak umęczony na Pobereżu we wsi Serbach za Tulczynem.

Tak się zakończyło to pamiętne powstanie hajdamaczyzną i kolijewszczyzną między ludem ukraińskim zwane. Z takich to czasów, z takich to ludzi osnułem Kaniowski zamek; teraz pytam jaki jej duch być powinien?

Popelnialiśmy nieraz i dotąd jeszcze popełniamy liczne błędy, z tąd tylko że nie znamy swojego kraju. Nie w samej literaturze czuć się to daje.

Za nadto może rozwlokłem przemowę, ale nigdy w chęci bronienia siebie. Zważałem tu głównie na wygodę czytających. Zresztą wiem dobrze że przemowa i przypisy nie naprawią żadajakiego tekstu. Każdy za siebie.



CZĘŚĆ PIERWSZA.

EXERCISES IN WRITING

PRZYPISY

DO

CZĘŚCI PIERWSZEJ.

NOTA I.

W powstaniu na Ukrainie w r. 1768, zamek kaniowski, równie jak kilka innych w tej okolicy, był zburzonym i spalonym przez hajdamaków. Jest podanie, iż żona rządcy, czyli, jak wtenczas nazywano, gubernatora zamkowego, pojmiana przez kozaków, i już ranna, potrafiła się jeszcze im wymknąć, a uciekając, przed ich pogonią, po pokojach i wałach zamkowych, coraz słabsza, opierała się o ściany, póki jej niedognano i niezamordowano do reszty. Gdzie tylko dotknęła się ścian ręką skrwawioną, zostały ślady; i mówią, że krwawe te znaki nigdy się nie dały zetrzeć, i trwały dopóty dopóki tylko były jakie szczątki murów zamkowych. Te, zresztą, gruzy dopiero przed kilku laty znikły zupełnie. — Kaniów jest małe i liche miasteczko; mieszczani jednak jego i magistrat mają jeszcze niektóre swobody i przywileje, nadane im od królów polskich. Leży w przeszlicznem położeniu nad Dnieprem, rozrzucone pośród urwistych brzegów jego.

NOTA II.

„Luba puszczyka siedzi naperzona.”

Rozmowa puszczyków, jak i cała myśl prologu, jest osnuta na wyobrażeniu gminu: iż diabli wybierają nocy ciemne i burzliwe do wyprawiania swych pustot, i że puszczyki dla tego się śmieją, iż widzą wszystkie harce i dokazywania tych istot, które nasza mitologia gminna wpół-straszniemi, wpół-komicznemi wystawia. Prócz poetyczności pomysłu, autor miał i tę pobudkę wprowadzić rozmowę puszczyków w swój czarodziejski prolog, że takowe pożyczania mowy ptakom często się natrafia w pieśniach i dumach ukraińskich, a właśnie jego zamiarem było korzystać ze wszystkich skarbów gminnej poezji naszej.

NOTA III.

„Tam: nieszczęśliwy znikły we złym wichrze,

„Czerwony upiór, i t. d.”

Są-to wszystko wyobrażenia ukraińskiego ludu. Według mniemań jego, wiatr kręcący się po polu, który, wreszcie, po tutejszych nieobejrzanych płaszczyznach, nierzadko widzieć, jest coś niezmiernie złego. Opowiadają przykłady ludzi, których wichur ten spotkał na swojej drodze i którzy odtąd niewiedzieć gdzie zniknęli. Inną razą, nóż poświęcony rzucony w słup kręcącego się wichru upadł na ziemię w tem miejscu krwią obryzgany. Do tego wyobrażenia stosuje się wiersz w „Maryi” Malczeskiego:

„Ale że czart na stepie tumany wyprawiał.”

Spadająca gwiazda jest, podług ich mniemania, latawiec (rodzaj powietrznego złego ducha). O jego miłoszkach z kobietami często posłyszyc można. Myślą także, iż zmarłe bez chrztu dzieci błakają się w powietrzu, jęcząc inarzekając, póki kto nieośmieli się ich przywołać i chrztu udzielić.

NOTA IV.

Cyt! »ho-hop, ho-hop!« odgłos smutny, znany.

Wprowadzona tu osoba topielicy Kseni jest także myśl pojęta w duchu miejscowych wierzeń i uprzedzeń. Nic się w Ukrainie ważnego niestanie, czegoby nieprzepowiedziało nadzwyczajne zjawisko, — coś dziwnego, coś tajemniczego. Bunt ukraiński, który tu nazywają koliszczyzną, i szczególnież rzeź humanśka (o której nawiasem wspomniemy, są współczesne i przez świadków pisane poemata i opisy, zapewne nędzne pod względem sztuki, lecz ważne jako najwierniejszy obraz tej krwawej dramy) miała także być zwiastowaną przez nadprzyrodzone widzenia: między innemi, przez dziwną obłąkaną kobietę, czy opętaną, która, z hukami i niezrozumiałą mową, przebiegała sioła Ukrainy. — Niemam ja tu myśli tłómaczyć albo usprawiedliwiać pojęcia autora; zwracam tylko uwagę na miejscowy koloryt obrazu.

PRZYPISY

D O

CZĘŚCI DRUGIEJ.

NOTA I.

*Leć do starosty. On, wśród Bohusławia,
Poi gromady, rozstrzeliwa baby.*

Mikołaj Potocki, banit, starosta kaniowski i bohusławski. Jest to jedna z osób żyjących w podaniach gminu. Jego życie, bezprawia, później pokutę, opowiadają w tysiącznych szczegółach. Są pieśni o nim, o jego miłościach, i okrucieństwach. Jeszcze teraz można znaleźć starców, którzy go znali osobiście; a powieść ich lubo nie w tak dalekie przenosi czasy, ale w jakże dalekie od nas obyczaje i zdarzenia!

Starosta kaniowski leży w Poczajowie, i jego ciało pokazuje, ze szczególną attencją, miejscowi księża Bazyliani. On-to, w skutek pokuty za nabrojone w Ukrainie sprawki, pyszny ten klasztor wydzwignął i nadał.

NOTA II.

*Pan wojewoda z Gontą kończy dzieło;
Wkoło, szubienic stawia tysiącami.*

Wojewoda Stempkowski poskromił bunt ukraiński. Trzeba wyznać, że kary nieustępowały w srogości zbrodniom przestępców; one rozjątrzyły jeszcze bardziej niż przestraszyły lud ukraiński.

PRZYPISY

D O

CZĘŚCI TRZECIEJ.

NOTA I.

*O, nieraz, może, na tym jego szczycie
Rozwiewały się przestrogi znamiona. i. t. d.*

Jest-to szczegół dochowany tradycją. Podczas ciągłych nabeigów tatarskich, kiedy lud okolicy wiedział że horda w pobliżu koczuje, dla bezpieczeństwa, zostawiał jednego ze swoich na jakiej wyniosłej i panującej mogile, lub na wierzchu wysokiego dębu, aby upatrywał Tatarów, i dawał znać o zajrzanych wywieszeniem białej chorągwi lub chustki. Lud pracujący po polach, skoro zajrzał bielejące znamię popłochu, uciekał w znajome sobie kryjówki. *Ukraiński telegraf!*

To mi napomina drugi szczegół. Słyszałem od mieszkańców pamiętnego w naszych dziejach miasta Czebryna tak tłumaczony początek zwyczaju, powszechnego w Ukrainie, a zwłaszcza w tej okolicy, zbierania się ludu, szczególnie chłopców i dziewcząt, na środek siota, który oni nazywają *u l y c i a*, ulica, dla śpiewania różnych pieśni, co się, nieraz, daleko w noc przeciąga. W czasie koczowania hordy w tych stronach, lud, wiedząc jakie klęski ponosi kiedy na śpiących natrafia Tatarzy, żeby zawsze miał przytomność i gotowość chronić się w razie niebezpieczeństwa, na noc zbierał się razem, i, dla odpędzenia snu, śpiewał narodowe dumy i pieśni. Zwyczaj

został, chociaż niebezpieczeństwo, co mu dało początek, minęło. Dalsze wiersze oddają sprawiedliwą zapłatę za-
sługom cienistych dębów Ukrainy, które, w ciągłych za-
burzeniach i wojnach, zapewne, niejednemu chroniącemu
się śmierci, były pewniejszą opieką niż ściany własnego
jego domu.

NOTA II.

Albo ten wieczór, ten ogień kupały!

Zwyczaj palenia ogniów w wilią S. Jana zasięga dale-
kiej starożytności; on się i w Ukrainie pzechował. Nazy-
wają go tu kupało. Pospolicie, kiedy dziewczęta wiej-
skie zaczną swój obrzęd, do którego i kąpanie się należy,
młodzież płci drugiej wybiera te chwile żeby na nie nie-
spodziewanie napaść: wtedy cicha nocna scena zmienia
się w najtłumniejszą; krzyki, śpiewy, rozlegają się w
powietrzu. W 1826 roku autor widział podobną scenę na
rzeczce Taśminie: tu ona się odbywa przy jednej z najpię-
kniejszych wód w Ukrainie. Jezioro i wieś Białozor leży
blisko Smiły, w rozległych sosnowych lasach: znacznego
ogromu, szyba, jasna, błękitna, zwierciadlana, błyszczy śród
rozstępu siniejących lasów; wieś, prawdziwie ukraińska,
ogromna, dobrze zabudowana, ludna, mająca zapewne
do 2000 samych dusz męskich, rozciąga się prawie w koło
jeziora. Obraz światła rybackich na jeziorze, wspomniany
w tekście, powtarza się tu każdego wieczora, i tworzy
prześliczną wodną illuminacyę.

NOTA III.

Coż-to za dziwna strona się odsłania? i. t. d.

Widok ten jest, prawdziwie, rysowany z natury.
Zaraz za miasteczkiem Moszny ciągną się, na szerokości

może trzech werst, bagna i trzęsawiska nazywane Irdyni. Najpewniej jest to stare łożo Dniepru. Prawy brzeg tych bagien otoczony jest wysokiem pasmem gór wznoszących się piętami, rozciągniionych szeroko, i okrytych gęstym lasem. W tem miejscu, to jest na pośredniem pasmie, hrabia Woronców, właściciel miejsca, założył pałac i zwierzyniec, na 8 werst rozciągniiony po górach. Pałac otoczony jest zabudowaniami wiejskiego gospodarstwa; wszystkie proste, lecz najgustowniej urządzone: i każdy dziedziniec, ze swemi zabudowaniami, składa najpiękniejszą formę angielską. Dziedzińce ubrane w drzewa i krzewy, mury domów w porozpinane gałęzie akacyi białej i płaczącej; schody, ganki, balustrady, — w kwiaty i różnokolorowe pachnące powoje. Lecz samo położenie piękniejszym jest nad wszystko. Z jednego punktu trochę wyżej za pałacem jest szczególny widok, prawdziwie nieogarniony. Jest to cypl jednej góry (nienajwyższej jeszcze): pod nogami masz widok pałacu i kwiecistych dziedzińców, schody gór okrytych lasem; dalej, pierwszym planem obrazu są bagna Irdynia, zarosłe oczeretem, i, gdzieś tam, olcha; za niemi widok miasteczka Moszen; dalej jeszcze rozciąga się Dniepr, jakby siną wstążką; — a tam, z drugiej strony, niskie, piaszczyste brzegi, wsie, miasteczka i monastypy już połtawskiej gubernii. Oko ma zewsząd otwarty widok na promień siedmiu lub ośmiu mil w około.

NOTA IV.

Wielkie przy Mosznach było krwi rozlanie.

W istocie wojska polskie pierwszy raz doścignęły powstańców w pobliżu Moszen, na Irdyniu. Zdarzyło się autorowi iż, będąc w tej okolicy, słyszał właśnie na miej-

sen, opowiadanie o tem spotkaniu przez czernica, dozorcę miyna należącego do pobliskiego monastyru, i naocznego świadka. Tu Jrdyn nie jest tak grząski; w suchą porę daje się przejeżdżać; w większej części zarosły olchami niepospolitej wielkości, gdzieniegdzie tylko biją zdrojowiska i stoją wody. Wszędzie po lasach sosnowych od Smiły aż do Moszen, były kurzenia hajdamackie, i tradycya pokazuje te miejsca.

Tu właśnie jest miejsce powiedzieć, jak potrzeba żałować, że niemamy ani dobrej mapy starożytnej, ani szczegółowej geografii, ani zbiorów żadnych historycznego interesu, choćby historycznej ciekawości. Uczony metropolita kijowski Eugeni za pomocą należącego do siebie duchowieństwa i odezwy do obywateli krajowych zaczął zbierać te drogie zabytki przeszłości, lecz niewiemy, jaki skutek wezmą jego starania, zależące od osób, po większej części lub obojętnych, lub nieznających ceny tych walających się w pyłe ich nog pamiątek. Dziś jeszcze za każdym krokiem napotykają się nie rozorane do szczytu mogiły, pod trawą i lasem, ostatki zamczysk polowych, i słyszeć można ciekawe o miejscowych wypadkach podania. Ale my to puszczamy mimo oka i ucha: tymczasem wiek mija, pług równa dzieło czasów minionych, pokolenie po pokoleniu wymiera; a my tracimy skarby, których nawet nie znamy wartości.



POEZYJE LIRYCZNE.

POEZYE LIRYCZNE.

WIECZOR.

Widok to wielki! rokosz czarodziejska,
Ta okolica, ta w czasie godzina,
Gdy innem życiem ziemia żyć zaczyna.

Tam w dali! wrzawa oniemiała miejska,
Błyszczą młde światła w mieszkaniach człowieka,
Jak skry rozpięzchłe niepewnej nadziei;
A oddalony, ponury szum kniei
Żyjącą duszę ostrzega zdaleka,
Że tajemnice, zbrojne ludzi oku,
Mają się począć w północnym drzew mroku.
Wyszedł i księżyc, smutny syn wieczora,
Ze śmierci cerą, z wejrzeniem upiora;
Migają gwiazdy po niebie rozsiane,
Niby promyki stworzeń przeznaczenia,
Ukradkiem trwożnej ziemi objawiane.
O w jakież światy unoszą te dziwy,
Ziemi i niebios, jasności i cienia!
O jakże ciemny, o jak nieszczęśliwy,
Kto pełnem sercem pojąć ich nie umie!

Jedna-to rokosz w ziemskich uciech tłumie,
 Zawsze nam nowa, zawsze w pogotowiu,
 A niezależna całkiem od nikogo:
 Kiedy, tak wszystko opłacamy drogo
 Na spokojności, na szczęściu, na zdrowiu,
 Tu dość chwil kilku, i kilku też czystych.

MATKA PRZYRODA.

Na przyjaźni zawiedziony,
Z kochanem sercem skłucyony,
Gdy mi dogryzie złość ludzi,
Gdy mię wrzawa świata znudzi,
Gdy mię ciężar życia strudzi,
Jeszcze na rospaczy drodze,
Ulę i życie znachodzę.

Przyrodo błogostawiona!
Wtedy, jak pieszczone dziecko,
Garnę się do twego łona,
Aż mię przytuli, ukryje,
Darmoby tam oko czyje
Wyśledzało mię zdradziecko.
Choćby łąa słońcem błyszczęła,
To w rąbku ze mgły utonie;
Choćby szatan ryczał w łonie
Burza-by go niewydała.
A tak, po krótkiej pociesze,
Sptakane oko, w blask żywszy,

Usta, w uśmiech przystroiwszy,
 Znowu między ludzi spieszę;
 A gmin woła: „To są dziwy!
 »Jaki on zawsze szczęśliwy!“

NAD PŁACZĄCEM DZIECKIEM.

Jeszcze pół-mrzące w anioła objęciu,
 A już łzy leje tak gorzko, tak wczesnie!
 Może-to ziemia cuci tak boleśnie?
 Może to człowiek przysnił się dziecięciu,
 I zmora bytu w te pierwospy życia,
 Odkrywszy jemu nagie swe ponęty,
 Bolem powlokła pieśczęty powicia,
 Łzami zalała śmiech nierozwinięty?

O niechaj płacz ten, przyjęty w daninie,
 Przewodnią strugą przed tobą popłynie,
 Naprzód kupując przejście, i niech razem
 Nasiewa drogę twej pielgrzymki kwiatem.
 Ależbo trzeba grobowym być głazem,
 I patrzeć okiem trupa lodowatem,
 By się, choć obce serce, nie zabiło,
 Całą miłości macierzyńskiej siłą,
 Że wywabiona na gody żywota,
 Ufna, bezbronna, półrajska istota,
 Pośród nadziei i żądz oblubieńca,
 Uczuwa żądło cierniowego wieńca,

I w pierwszym kroku znosić musi tyle,
 I dla tej tylko lichej szaty ciała,
 Kiedy już wieczność przeszłości przespiała,
 Czy to w kolebce światów, czy w mogile.

Skłońcie się jednak z tem skarżącym czołem,
 Skłońcie się w modłach przed jego aniołem:
 Niech te kropelki w swoje łono zbierze,
 Niech tam jak źródłem zamknięte jaśnieją,
 By w skwarach życia były mu nadzieją,
 Były ochłodą, a módlcie się w wierze,
 Iż prośby wasze mimo nie prześlizną,
 Bo niemasz może, prócz łez za ojczyzną
 I boleśniejszych i czystszych na ziemi,
 Jak łzy rodziców nad ich małeńkiemi.

BŁĘDY GENIUSZA.

Czy skrzeczy rozum poziomy,
 Czy szydzi zawiść złośliwa,
 Ty leć za duchem, który cię porywa,
 A ten przeniesie nad bezdna i stromy.
 Za prawdą idzie proste sumienie;
 Prostemu czuciu zawierzyć trzeba.
 Duszy zawierzyć, skoro twoje pienie,
 Pienie niestrojne w jej strunach zadrgało,
 Toś jej zaspiewał od kolebki nieba.
 To w ogniach twego zapалу
 Rodzinne słońce dla niej zaigrało.
 Nie lekliwie! nie pomału!
 Zostaw, zostaw komu błogo
 Krażyć bitą ziemską drogą.
 Sam obłęd twego zapędu
 Rozpromieni wieków krocie;
 Kiedy rozumy płaskiego rzędu
 Zagasną w pyle i pocie.
 Wzbijaj się prawy Poeto,

Z poddaniem twemu natchnieniu,
 Z pełną wiarą w jego mocy,
 Zawsze po duszy promieniu!
 On cię złączy z duszy meta.
 Jeszcze krok na twej drodze, a nie będzie nocy.

POŁUDNIE.

Samo południe! uroczysta chwila!
 I duch na skrzydłach spoczął wyobraźni
 Czasem się listek jak do snu przechyla,
 I blask barwiony źrenicę podrażni.

A w sinej przezroczy,
 Przez drżącego światła fale,
 Słońce spaniale,
 Cicho się toczy.

Cicho się toczy po nad ciszą ziemi,
 W pobliskich trawach brzęczy trzask konika,
 Ulotny wietrzyk, nad braćmi spiącemi,
 Przez czujne listki, zlekka się przemyka.

Tu zagrała mucha,
 Tam słowicze pienie kona,
 A wkoło głucha
 Wrzawa zmacona.

Wszystko, ach! wszystko pięknie gra dla duszy,
 Ale ją ciągle coś niestrojne kluci;
 Kiedy mgła myśli świat cały opruszy,
 Coż stąd że słońce blask oka ocuci?

Na coż te śród nieba,
 Te śród ziemi cudów roje,
 Gdy komu trzeba
 Mieć serce moje.

Ty coś do wiecznej, harmonijnej zgody
 Życia przyrody muzykę nastroił,
 Ty coś żyjące obrazy przyrody
 Zgodnemi tęczy barwami napoił,

Objaw mi, o Boże,
 Jak, jedno dzieło twych rąk,
 Różnić się może,
 W tym zgododźwięku!

ROZSTANIE SIĘ Z PRZYJACIOŁMI.

Zaszumił wiatrem wierzch drzewa zielony,
Po cichych wodach błękit się rozlewa;
Już-to nie błękit ukochanej strony,
Nie lubych spomnień te kwiaty i drzewa.
Spłynęły one, spłynęły daleko
I bez powrotu przeszłości rzeką.
A w moich czuciach tak pusto, tak ciemno,
A świat tak nagi, tak obcy przedemną,
Że dzikie oko błąka się dokoła,
Jak wzrok pchnionego do piekieł anioła.
Więc już nie ujrzę was po tym rozdziele,
Mojego serca drodzy przyjaciele?
Więc mi już wasze nie zabrzmią godziny,
Ciche uciechy dobranej drużyny?
Gdy ta myśl jedna uderzy do głowy,
Wtedy łza szczęścia, przeszłości sierota,
Nabrzmiąła rozpaczą, spłynie
W obecności jad zółciowy,
I w potwornej mieszaninie
Tak zmaci puhar żywota,

Że łamiąc ręce wołam, jak bóstwo syn ciała,
 Gdy mu napój podano śmierci spragnionemu:
 „Czemuż mię, o mój ojcze, opuściłeś, czemu?”
 Błada mi, że tak wołam! zasłona wciąż cała,
 I słońce wciąż dokucza spojrzeniu mojemu!

P O R A D A.

Oko twe miłe, jak niebo pokoju,
 Jak słońce błyszczy w uciszonym zdroju,
 Tak cicho dusza w twych oczach spoczywa.
 Po wdziękach lica lekliwie i skromnie,
 Różową chmurką rumieniec przepływa; —
 Pojrzałaś na mnie, uśmiechasz się do mnie.

Posłuchaj piękna, posłuchaj mię chwilę.
 Gdyby to oko patrzące tak mile,
 Mojemu oku odpowiedzieć chciało,
 Cobyś pragnęła wziąć odemnie wtedy?
 Weź sobie rozum — rozum? — to za mało:
 Szalu miłości będzież on wart kiedy?

Weź sobie rozum, dodam życie jeszcze,
 Ja tylko jednym całunkiem popieszczę.
 Niech stracę rozum, niechaj sam zaginę,
 Dość mię nagrodzi jedno całowanie,
 Za tę rozumu, i życia godzinę!..
 Co? ty się zgadzasz, pomyśl, a niebianie!

O! rokosz ze mną nie ujdzie bezkarnie,
 Niech się niewinność do twej piersi garnie,
 Bo pokój nieba twoją pierś nasycą,
 A w mojej, słyszysz, jakie burze wyją?
 Jak rajskie źródło czysta twa zrenica,
 Niechaj anieli rokosze z niej piją.

Nie bierz mi serca, nie oddawaj swego,
 Odwróć się, odwróć od spojrzenia mego,
 Póki szanuję niewinnej swobodę,
 Póki trwam jeszcze w dzikiej cioty szale;
 A za jedyną mych cierpień nagrodę,
 Bądź dla mnie sroga, zapomnij mię wcale.

DO WYŚNIONEJ KOCHANKI.

Kiedym był jeszcze w latach dziecinnych,
 I sny tęsknoty w przyszłość mię gnały,
 Wiecznych mi śniegów kraj się uśmiechał,
 Leciąłem duszą w podniebne skały;
 Ja niewiedziałem, żem wzdychał,
 Do twoich krain rodzinnych.

Kiedym się palił młodości latem,
 Burzami serca do snu chustany,
 Marzyłem ciągle jakąś pustynię,
 Gdziebym spieczony, upracowany,
 Zamieszkał dziką jaskinię,
 I żył cicho, jak za światem.

Jakże się prędko te sny sprawdziły!
 Tułacz ja dzisiaj, światu nie żyję,
 Błądzą po ziemi, jak po jaskini;
 Jak sklep ze skały, niebo mię kryje;
 I tylko spokój pustyni
 Poządany mnie i miły.

Ale i ową gwiazdeczkę jasną,
Co te sny złotą rąbiła tkauką,
Wyśniłem sobie w zaświatnej dziczy;
Ciebie wyśniłem, moja kochanko;
Świeć-że mi, duchu strażniczy,
Świeć, póki oczy niezasną.



DO

Kocham ciebie, mój aniele!
 I taką mocą kochania,
 Że dumne serce temu się nie wzbrania,
 Że, jak do cnoty, przyznaje się śmieie.

Ja kocham! — i mówię śmiało:
 Kocham ciebie, mój aniele!
 Ja co przedlaty, przededni niewiele,
 Zniszczyłbym serce, gdyby kochać chciało.

Jakże spadła moja pycha!
 Jakaż siła w twej pokorze!
 Mnie, co niedawno burzył się jak morze,
 Panuje teraz jedna gwiazdka cicha.

Widzę po oczach ukośnych,
 Słyszę w pokątnym uśnięciu,
 Jeden drugiemu podaje pocichu:
 Patrzcie! szalenie płomieni miłośnych!

Nie! mój rozsądek, o miła!
Tak jasny, jak oko twoje;
A w całej duszy tak błogie pokoje,
Jak żeby twemi uśmiechami żyła.

Znikł mi w tobie ród niewieści!
Ty zostałeś przy tułaczu,
Świątą kropelką anielskiego płaczu,
Co leczy duszę z czyscowych boleści.

SZCZĘŚCIE CZŁOWIEKA.

Wyszedłeś na świat dziecięciem;
Matka tuli cię objęciem,
Przyroda w zawód rozkłada dziwy,
Wszystko cię wita wesoło,
Same pieszczoty w około,
A ty odpowiadasz płaczem,
Płaczesz! niewiedząc i czego i zaczęm?
Widać, nie będziesz szczęśliwy.

Przebiegasz młodzińcze lata;
Zrywasz wszystkie kwiaty świata,
Jak wietrzny mędrzec, jak wietrznik tkliwy.
Roskosz sama cię ugania,
Piękna, jak anioł kochania,
Chce, jak szczęścia, serca twego,
Ty jednak tęsknisz! zaczęmże? do czego?
Widać, nie jesteś szczęśliwy.

Dosiągnęś potęgi męża;
Zgniotłes namiętności węża ,
Ukołysałeś zapal lat burzliwy,
Coś pragnął, wszystko posiadasz ,
Wielkimi skarbami władasz ,
W zaszczyty chwała cię stroi.
Ciebie coś jednak smuci, niepokoi,
Jeszcześ, widać, nieszczęśliwy ,

Choroba wieku niemila
Zgarbiła cię, wywędziła;
W dół spadły oczy i głowa siwa,
Teraz jesteś nieszczęśliwy.
Nie; rzecze dusza, włos siwy
Jest kwiatkiem innego życia,
Głowa się chyli do ziemi powicia,
Tam spiesz, tam szczęście przebywa.



B U R Z A.

Dzień pobladł, powietrze ścichło;
Rosną, postępują chmury,
Jak z nocnych mroków ulane góry,
Coraz i ciszej, i ciemniej — nie rychło
Zawył wichrów świst ponury,
I znowu wszystko ucichło.

Mnożą się obłoki w dali,
Po niebach, jak po opoce,
Coraz to głośniejsz piorun hurkoce,
Coraz to jaśniej długi błysk się pali,
Aż dzień utonął w pomroce,
A niebo w nawałnic fali.

I ot nad głową prysnęły,
Morza chmur błysku rozświetem;
Gromy po gromach wstrząsły błękitem
Zda się, że głębie światów odjęknęły
Dzikim konwulsyjnym zgrzytem,
I bladą trwogą olsnęły.

Zdaje się, że zegar kary
Dźwiękami śmierci wygrywa.
Jakże ta chwila wielka, straszliwa!
Ktoż ją przetrzyma bez uczucia wiary?
Czyjaż - tu krew nie przepływa
Przez żary, lody i żary?

A ty na te gromów łomy,
Na te nieba w błyskawicach, —
Zimną spokojność trzymasz w żrenicach,
Chociaż i tobie grozi skon widomy?....
— Kto zrośł w serca nawałnicach,
Temu nie straszne te gromy!

ROZMOWA Z SŁOWIKIEM.

Jakże luba ta altana,
Ocieniona żywopłotem,
Chłodzona wiatrów przelotem.
Ach! w twojej ciszy, moja kochana,
Powierniczko mego łona!
Czucie ziemskości do reszty kona!

Śród grających fal światłości,
Śród rzeźwego bytu wrzawy,
Jak płomyk mógł bładawy,
Przyémiona dusza, w marzeń cichości,
Innem życiem tutaj dyszy,
Zaledwie widzi, zaledwie słyszy.

Ktoż mię z tego snu ocucił?
Ha! to słowik usiadł blisko,
Zahuśtał liści kołyską,
Zwrócił się ku mnie, tęsknie zanucił,
I śpiew, chwilkę postrojony,
Śpiew swój słowiczy w ludzkie zlał tony.

Tam nad kwiatkiem brzęczą pszczoły,
Tam ptaszyna za ptaszyną
Slizga się gętką krzewiną,
Tu borze wiatry motyl wesoły.
Wszystko igra śród użycia,
Wszystko cię nęci, wzywa do życia.

A ty leżysz, jak zmartwiała,
Nic cię z dumań nie poruszy,
Czegoż trzeba twojej duszy? ...
Nic jej nie trzeba, mój ptaszku mały,
Ni od ziemi, ni od nieba,
Tylko swobody, swobody potrzeba.



T O P I E L E C.

Złowrogich losów szaleje burza,
 Żeglarza ziemi w jej topieleach nurza,
 Tonie, tonie moja łódka
 Serce cały mój ładunek,
 W tym spiewie cały ratunek;
 O jakże ciężka ta żegluga krótka!

Wybrnę czasami nad gorzkie fale,
 I brzemię skonu piersiami odwałę.
 A wtedy cała pociecha;
 Że wciąż ta sama piosenka
 Na rozliczne tony stęka.
 I w szumie burzy szuka choćby echa.

Czasami, widzę, stoją zebrani
 Słuchać u brzegu wołanie z otchłani,
 Ale mało tam kto słyszy;
 Ale jeszcze mniej rozumie.
 Spiew lub za cichy w tym tłumie,
 Lub za okropny dla pieszczęcia ciszy.

I oto jednych gromy spłoszyły,
Innych odwodzi tęczy widok miły.
Do uciech pobiegli biedni.
Nie wielu z nich pozostało
Słuchać w spólczeniu i śmiało,
Moich narzekań, sobie przepowiedni.

Skołatanego serca znajomi,
Mojego śpiewu żaden z nich nie zgromi,
Bo w pomroku takiej doby,
Gdzie czucie słabo przyswieca,
Jak w burzy oko księżycy,
Nikną dobrane, promienne ozdoby.

Smutne ofiary niszczących losów,
O przyjaciele tonącego głosów,
Dla was moja pieśń nie zginie;
Odejdziecie w myśl zamknięci;
Westchnienie po mej pamięci,
A łza topielca i wam z ocz popłynie.



T E S K N O T A.

Smutne nad ziemią błękitne pola;
Posępnym blaskiem słońce w ziemię strzela,
Jak z łez litości, oko przyjaciela,
Kiedy dniom drogim grozi niedola.

Niszczący powiew jesiennej doby
Z lica przyrody wdzięk po wdzięku zmiata,
A nowa troska i nowa utrata
Wypełnia kielich mojej żaloby.

Na chorą ziemię padam raz jeszcze
Jak na kochanki konające ciało,
Sledzę, przenikam gdzie życie zostało,
I pozostałe ogrzewam, pieszczę.

I sam moc tracę przez trud bezpłodny,
I sam omdlewam — szumi myśl drzew szumem,
Czasem wiatr życia zarzuci mię tłumem,
Czasem na lice prysnie deszcz chłodny!....

Kiedym się w kwiatek życia rozwijał,
 Kiedy uczucia w pączkach jeszcze spały,
 Strumyk tęsknoty czysty był i mały,
 Rajskie widziadła na dnie odbijał.

Pokornie płynął; a jeśli wylał,
 Chętnie skapałem serce w jego wałach;
 Wybrnąłem we łzach, jak w rosy kryształach,
 Łzami, jak rosą, życie-m umiłał.

Ach! coż się stało z owemi dniami?
 Strumień tęsknoty jak potok się ciska;
 Źródło dla niego trumny, i zwaliska,
 Krwią się zapienia, przybiera łzami.

A żadnej schrony za mną, przedemną.
 Popatrzę w życie, widzę wkrąg pustynie;
 Puszczę się myślą, myśl jak oko ginie.
 Chcę naprzód lecieć — jak w piekle ciemno.

Chcę nazad wrócić — tam grobów strona
 Tylko w jej słońca połyskach ostatnich
 Miga mar kilka, kilka duchów bratnich;
 Przeszłość i przyszłość równo zginiona;

Obejrzę na siebie — jam kwiat opadły,
 Drżący, samotny wśród zgubnej powodzi;
 A tutaj fala po fali nadchodzi,
 Bliżej i szerzej warczy wir zjadły.

Przyszła ci kolej upaść z korzenia,
Jak rozburzyły niesłychane kłeski.
Moją pierś młoda, mój świat czarnoksięski,
W rozpacz tylko szukaj zbawienia.

Rzucam się w potok bez woli, siły.
Składam w krzyż ręce, i oczy zawieram,
W jedną myśl martwą wszelkie myśli zbieram;
Niech mię tak niesie choć — do mogiły.

O jakbym jemu pobłogosławił!
Gdybym aż w świata drugiego przezroczy
Musiał otworzyć te dłonie i oczy
Gdyby mię w życie wieczne tak spławił.



MODLITWA KOCHANKI.

Moja luba gdy ciszę upatrzy do koła,
To ulgi na kochanie szuka w świętych stronie:
Ukłęka przed obrazem, załamuje dłonie,
Podnosi czarne oczy i, spiewem anioła,

»Matko boleści, matko miłości!» zawoła,
»Przez te miecze cierpienia, co tkwią w twojem
łonie,

»Przez ukochanie syna, co z twoich ocz płonie,
»Ostudź ten żar któremu piers już niepodoba.

»Ratuj mię, matko bólu! Jak miłości matka»....
Jam nadszedł i dokończył i modlitwę przerwana:
»Zdarz, niech te prośby drogą potrzebą się
staną!!!»

»Jakże tam nasze modły i miłości matka?»
Zapytałem niedawno z uśmiechem kochaną.
»Ach! wysłuchano, rzecze, lecz tylko ostatek!»

POŻEGNANIE KOCHANKI.

Żegnajmy się o luba! Sprzeczne wiatry wieją,
Nadchodzi chwila, w której wiecznie się rozstaniem.
Już odtąd dzień tęsknotą, długa noc niespaniem
W zegarze naszych losów będą bić koleją.

Zdziczeją nasze myśli, serca spustoszeją,
Ztępią się blaski spojrzeń próżnem wyglądanem,
Przycisną ust płomienie maryl całowanem,
Pożegnajmy się, luba, z sobą i nadzieją.

Nie! przestań, przestań płakać! mam jeszcze
sposoby.

Z moich słów, z twego łkania piosenkę złożymy.
Skoro zechcesz mię ujrzyć, zanné płaczu rymy;

Choćbym grobów był więzniem muszę pęknąć
grobymy.

Co, ja gadam szalony? Marzę jak z choroby?
Tem lepiej, że się tracąc i rozum tracimy.



GOŁĄBEK Z POSLANIEM.

Z której - to lecisz, gołąbku, strony?
Z takim ciężarem, taki znudzony;
Czyż cię ręce pchnęły tak srogie
W taką przykrą drogę?

— I Pan, co nami rządzi wszechwładnie,
I ot! ten ciężar, co na nas kładnie,
I kraj skąd lecę, i kraj gdzie stanę,
Wszystko mi nieznane.

Nie wiem czy pańskie są w tem igraszki,
Lecz wiem że z duszy chcę być u ptaszki;
Tęskni kochanka, czeka mnie miła,
Smutna jak mogiła.

Cieżar co niosę przykry jak ciało,
Trudną, jak życie, drogę mam całą,
W słotach zaś, w biedzie, żadnej obrony
Nad ciężar włożony.

Gdyby już prędzej, brzemie nad siły,
Złożyć na łonie tęskniącej milej;
Gdyby już spocząć sobie, gdzie gości
Spokojuść wieczności.



DO MOJEJ WIERZBY.

Dobry wieczor, wierzbo, tobie!
Tylko proszę, proszę wcześniej,
Niech liść żaden nie szeleśnie;
Jak drzymał niech drzymie sobie.
Bo usnęło serce moje,
A zbudzić je tak się boję.
Jak miło w tem uciszeniu,
Żaden powiew nie oddycha;
Po cichem nieba sklepieniu
Senny księżyc stapa z cicha.

Och! i coż się tobie stało?
Westchnałeś — a to westchnienie
Przerwało serca uspienie
Zbudziło przyrodę całą:
Księżyc chmurami się dąsa,
Wiater liśćmi potrzasa,
A mar ugłaskanych roje
Co śród gałązek usnęły,
Spadły znow na piersi moje,
Znowu serce ssać poczęły.

Och! dobranoc, wierzbo, tobie!
Próżne spokoju żądania!
Serce dalej mię poganiam,
Ja idę dalej, ty szum w żałobie,
Jak ja w żałobie odchodzę
Po ciernistej deptać drodze,
Szukać szczęśliwej uboczy,
Gdzie gład wiecznego usnienia,
To czujne serce przytłoczy;
Gdzie usną same westchnienia.



ZAGADKA TKLIWEGO.

Czego zadumany chodzisz,
I kładziesz rękę na spieczone łono,
I po bladych gwiazdach wodzisz
Ciche westchnienia, powiekę zroszoną?
Czy chcesz wyczytać na niebie
Skąd te lecące bez celu westchnienia?
Skąd te płacze bez cierpienia?
Chcesz się odgadnąć? ja odgadnę ciebie.

Ziemia jak trumna spoczywa.
Żałobne pienia nucą jej puhacze;
Noc jak wieko ją przykrywa,
Księżyc, nad spiącą, jak nad zmarłą płacze.
Takiej właśnie trzeba pory
Aby się twoją zagadkę odgadło;
Weźmiemy tylko zwierciadło,
I pójdziem w pola, na góry, nad bory.

Patrzaj! oto obrócone
Ku księżycowi lustro go spotyka;
A teraz pojrzyj na stronę:
Widzisz błysnienie! czy widzisz jak zmyka,
Jak przelatuje skwapliwie
Przez lasy ciemne, przez dzikie urwiska,
Chwilę na wodach połyska,
Chwilę na wonnej wstrzymało się niwie...

A teraz, pojrzyj ku górze!
Jak to światełko pędzi całą siłą,
Ledwo spoczęło na chmurze,
Już przy księżycu, już się z nim złączyło.
Otoż w naszym ziemskim bycie
Tak niespokojnie dla duszy dni biega,
Otoż zagadka tkliwego:
Księżyc jest bóstwem, tyś jego odbicie.



ROSKOSZ WIOSNY.

Tajemniczy ogień czuję!
Ten ogień, zmysłom wesela,
Sercu miłości udziela;
Ten ogień duszę przejmuję.
Ciebie - to, o wiosno! czuję.
O wiosno! twoja-to władza
Z głębi niebios go sprowadza.
Z błogosławionym oddechem wietrzyka
W łono ziemi on przenika;
Siedmiobarwi wstęgę tęczy,
Motyle skrzydełko wdzięczy,
Kwiatki koronami wieńczy,
Przemawia w pieniu słowika.
W zawoju świeżej róży się rumieni,
We łzach poranku barwami się pali,
Płomieniem gore na drzymiącej fali,
Gwiazdy zasiewa po marszczkach strumieni,
Coż? kiedy duszę w jej głębiach przejawszy,
Świat nowszym zmysłom otworzy nowszy;

Gdy w zmartwychwstania uroku
 Odłoni przyrodę oku,
 I krew popędzi w uczuć ognistych potoku;
 Ach jakież barwy! jakież odzienia
 Wydadzą czary tego płomienia?
 Z czemże go zrównam, o wiosno?
 Może z roskoszą miłością;
 Może z tem obłąkaniem, co duszę zachwyca,
 Kiedy wdzięku anielskiego,
 Kiedy anielskiej pieszczoty dziewica,
 Wyda się trwożnem spojrzeniem
 Ze wzajemnym płomieniem,
 I uścisk mimowolny przyłączy do tego?
 Nie, wiosno! I ja kochałem,
 I niegardzono moim zapalem;
 Znam ja miłości roskosze,
 Poznałem twoje, i twoje przenoszę.
 W tamtych niepokój, i cierpkie żądze,
 Tam wśród uniesień bojaźni straty czuję,
 Trwożny o przyszłość, przeszłości żałuję.
 Tam cierpię używając, unosząc się błędę;
 Zawsze tam szczęściu czegoś brakuje,
 Jak żeby piekła z niebem spojono,
 Z roskoszami aniola potępieńca bole.
 Wolę ciebie, wiosno, wolę.
 Skoro twoje technienia wioną,
 I twoją duszę uczuje łono:

Wyższem życiem duch ulata
Do sfer nadziemskiego świata,
I upojony czuciami czystymi
Nie należy już do ziemi.



DWA ANIOŁY.

Już wieją pierwsze jesienne chłody,
 Powracające ciągną żorawie;
 Nim pierwszym lodem ranek zaśkli wody,
 Krążący rybitw muska się w stawie,
 I dla bagnistej czajka ustroni
 Brzmiącemi skrzydły pożegnanie dzwoni.

Przez nieprzejrzone zblakłe pastwiska,
 Na pajęczyny wąłym kobiercu
 Słońce ostatkiem skarbów swych połyska;
 Przy konającej lilii sercu
 Wiednący motyl skrzydełko schyla,
 Zastyga rosa — łezka dla motyla.

Wychył się, słońce, wychył w błękity!
 Zadzwon, o wietrze, przez jar ustronny
 W pozołkłej trzciny upierzone kity;
 Zadzwon, spiewaku mój jednotonny!
 Niech temu światłu, niech tej piosence,
 Zabytek lata — spomnienie poświęcę.

Gdy kir chmur śnieżnych zwiśnie nad ziemią,
 I wichrowate tchnienia zamieci
 Kwiatami mrozu okna mi zaciemią,
 Czem-że się wtedy świat mój rozświeci?
 Kto mię śród nudów i wycia burzy
 Błogiem snami lepszych dni odurzy?

„Ja” rzecze praca: „ja cię obłokiem
 Swojego świata przed zimą skryję.”
 A wyobraźnia: „a ja cię urokiem
 Swojego tańca zimie odbiję.”
 I jak bliźnięta, objęte w poły,
 Zleciały w moję duszę dwa anioły.

Witajcie, gońce dobrego nieba!
 Niewyczerpane są wasze dary,
 Tylko was godnie ugościć potrzeba;
 Za przeżegnaniem anielskiej pary,
 Napojem życia, duszy naczynie
 Napojem chwały przez wieki popłynię.

Pod skromnej chatki poddaszem niskiem,
 Gdzie założycie gospodę waszą,
 Przed wieśniaczego kominka ogniskiem
 Myślą się wieków skronie opaszą,
 I milionom za miliony
 Stanie samotnik przez was poświęcony.



DO MŁODEGO POETY.

Śmiało, śmiało, młody wieszczu!
Skoro w harmonijnym dreszczu
Gra dusza twoja pod Geniusza dłonią,
I struny dźwiękiem własnej duszy dzwonią.

Byleć do tonów twej duszy
Struny poezji nastroił,
Granie ich echa niebieskie poruszy;
Niebieskim echem będziesz ziemię poił.

Jest u nas ptak tajemniczy,
Pióro anioła dziedziczy;
Po takim piórze w ranne jego pienia
Hymnów anielskich zlewają się brzmienia.

Zatop się w twoje uczucie,
A będziesz, jako ci ptacy,
A przedwiecznego anielscy spiewacy
Ziemskiemu sercu ozwać się w twej nucie.

Utoń w sobie, obejm siebie,
Nic w tobie nie jest powszedniem;
Ty cząstka bóstwa, tyś bóg w twojem niebie,
I świat przed tobą odkryty jak przed nim,

I taki wielki jak przed nim;
Jedna uczuć iskiereczka
Świat w sobie nosi, jak niebios gwiazdeczka;
Wszystko w tobie jest wielkiem, nic nie jest
powszedniem.



ZIMOWA POGODA.

Igraj w zadumaniu cichem,
Igraj, samotnika serce,
Z posępnym zimy uśmiechem,
Na każdej śniegu iskierce;
A wy precz, troski-morderce!
Precz! odemnie niepokoje.
I świat zmienia szaty swoje;
Jest blask wesela i w zimie.
Ot! ziemi kształty olbrzymie
Błyszczą w sukni uiskrzzonej,
Niby w stroju narzeczonej.
Z bezładnego chmur posłania
Wychyliło się i słońce,
I w połowie rozdrzymania
Z podziwem ku ziemi skłania
Oko, pół-czujne, pół-spiące.
O bodaj został wyklęty
Kto staje pośród biesiady,

Jak potępionego mara,
I do spólnego puhara
Własnych łez przylewa jady;
Bodaj sam wypił te męty!
Dalej, serce, dziel biesiadę;
Dziel ją rade, czy nierade.
Smutek ciężko dni przewleka;
A może i tak daleka
Godzina, co nam odłoni
Nieprzerwanych snów kolébkę:
Radości! twe skrzydła szybkie,
Roztocz je, i nieś mię do niej.



PRZEZNACZENIE GENIUSZA.

Na toż powstają Geniusze
 W wiecznej bytu zawierusze,
 Aby błysnęły kometa,
 I potem zgasły bez śladu?
 Możnaż, aby twórca ładu
 Bezcelną zamknął je metą?
 Tutaj, gdzie pyłek jest świata ogniwem,
 Oneż się tylko marnie zatracą,
 Z całych wieków pracą,
 Z plemion podziwem?
 »Chwała światłości i cnocie;
 »Hańba złemu i ciemnocie!
 Zawoła skielet mądrości,
 Groźny anioł-stróż przeszłości,
 Wielki prorok z doświadczenia,
 Który nad wieków prochami,
 Liczy chwile, kolejami
 Bytu i zniszczenia.

„Kto obecność pojąć pragnie,
 „Ku przeszłości ducha nagnie,
 „Ledwo drobny świat człowieka
 „Zaczął swój obrót w światów kołowrocie,
 „Dumny, przy swojej lichocie,
 „Z dróg wytkniętych wnet ucieka,
 „I gaśnie w ciemnocie.”

Przecknęła mądrość w twórcy osobie,
 I tchnęła z boskich piersi, i Geniusz w tej dobie
 Zeszedł na ziemię otwarcie,
 I śmiertelnym przyniósł wsparcie.
 I już odtąd wiek po wieku,
 Jak tylko bóstwo przygasa w człowieku,
 A ciało duszę ugniata,
 Wcielony Geniusz złata,
 I zapaśnik ludzkości, ludzkości imieniem
 Walczy z nocą i spodleniem,
 Aż wrogów duszy obali;
 A świat tymczasem pomyka się dalej.
 Chwała wam, mężo wyższego natchnienia!
 Że dusza żyje przez wasze zjawienia,
 Jak biciem krwi ciało żyje;
 Że przez was wśród tego cienia
 Zegar mądrości idzie i bije!

MOJA PIOSENKA.

Zegar życia bije,
Lata jak woda, spływają scicha;
Świat wesoło żyje,
Tylko mnie pierś wzdycha;
I kiedy wszystko, wszystkim się uśmiecha
Mnie żaloba wszystko kryje.

Innych przyjaciół pieści,
Śmieją się, innym, usta kochanek,
Tylko mnie w boleści
Schodzi życia ranek;
Na mojej skroni schnie miłości wianek,
Nikt mię w sercu nie pomieści.

Nie mnie życia kwiaty,
Nie mnie przyświeca dzień złotem czołem;
Smutne grobu szaty
Żywy naciągałem.
Niesmaki życia moim są żywiołem,
Moim światem lepsze światy.

DWIE GWIAZDY.

Witajcie moje gwiazdy! Jak płyną tak płyną
Wiecznie światło ku światłu, i promyk z promykiem;
Śród zamieci stworzenia, między światów szykiem
Nie rozłączą się jednak, ani sobie zgina.

Witaj mi tajemniczej miłości drużyno!
Jeszcze młodzieńczych uczuć zakarmiany mlekiem,
Bełkocący od serca piastunki językiem,
Lubiłem brnąć za wami błękitną głębiną,

I straciłem was potem w żywota zawiei,
By straciwszy na niebie znaleźć u kobiety,
Gdyście z serca kochanki wyszły na jej oczy.

Dziś mi znowu świecicie w błękitnej przezroczy.
Dziś was znowu spotykam i witam, niestety!
Już na niebie — jak godła tęsknot i nadziei!

GWIAZDY NIEZAPOMINKI.

Piękny, luby jest ten kwiatek,
 Bo go rączeta twoje zerwały;
 Drogi dla mnie, bo twój datek,
 Ależ nietrwały, ależ nietrwały.
 My przysięgli, moja duszo,
 Że się będziemy kochać do grobu,
 I pamiątki więc być muszą
 Trwalsze niż kwiatek, trwalsze dla obu.
 Tam, o luba, tam na niebie
 Niezapominków łąka nam gore.
 Tam dla siebie i dla ciebie
 Wieczny, jak niebo datek wybiorę.
 Te dwie gwiazdy, te jaskrawsze,
 Co jak małżeństwo ciągle przy sobie,
 Dla nas będą, dla nas zawsze;
 Jedną ja wezmę, drugą dam tobie.
 Nas na ziemi los rozdzieli,
 Nic nie rozdzieli gwiazdek na niebie;
 W nich będziemy się widzieli,
 Okiem ich będziemy patrzeć na siebie.

Takie kwiaty kwitną jasno,
 Barwy co z nieba nigdy nie zbeda,
 Kwitną oczom, gdy te zgasną,
 Naszym ach! duszom kwieć się będą.
 Czuje prawdę słów dziewica
 Choć gwiazdeczki zgasły w obłoku.
 Gwiazdy zgasły, bo przyświeca
 Całus na ustach, miłość na oku.

BRZOZA I ŹRÓDŁO.

Brzózko w zielonym zawoju,
Co tam w twoim gra warkoczu?
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Co tam patrzy z twoich oczu?

Myślałem, o drzewko, krasne!

Że to brzęczy, głos miłego.

Myślałem, o źródło, jasne!

Że to błyszczy oko jego.

Brzózko w zielonym zawoju,
Wiater gra ci po warkoczu;
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Gwiazda patrzy z twoich oczu.

Nie! to on, to on, daleko!

Spomniał sobie że tu miła,

I swoje oczy, tą rzeką,

Serce, wiatrem tym przysyła.

Brzózko w zielonym zawoju,
Trzymaj wietrzyk ten w warkoczu;
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Nie wypędzaj gwiazdy z oczu,

Bo w noc wiernie i skrycie
 Biedna przyjdzie tu dziewczyna,
 I spyta, a wy powiecie:
 Żyje, żyje, i spomina.

WIANEK PRZYJAŹNI.

Chodźmy, Janie, na to wzgórze,
 I usiadźmy tu, pod brzozą.
 Płyńie jesień w mglistej chmurze,
 Goniec zimy gwiazdze łożą;
 A tam! na wierzchołku drzewa
 Skielet wianuszka powiewa.
 Czy pamiętasz ten spoczynek,
 Gdy go nasze plotły dłonie,
 I zawiesiły w tej stronie
 Przyjaźni na upominek?
 Czy pamiętasz jego farby
 Przy letniego słońca blasku?
 Jak zmieszane światła skarby
 W czarodziejskim tęczy pasku,
 Tak płonęły jego farby;
 A dziś, patrz, jak trupie lica,
 Taka zimna, taka blada,
 Niebieska jasność przyświeca,
 Na zczerniały wianek pada.
 Uważ, uważ co się dzieje
 Z pięknym przyjaciół wianuszkciem!...

Kiedy nad śmiertelnem łóżkiem
 Światło gromnie zajaśnieje;
 Kiedy śmierci Anioł niemy
 Zamgli zrenicę chorego,
 W milczących twarzach niesiemy
 Smutki ostatnie — dla niego.
 Jak tam wyraźnie czujemy
 Po boleśnem serca biciu,
 Że ubywa węzła życia,
 Pękają ziemi ogniwa,
 Łańcuch bytu się rozrywa.
 Czucia ten łańcuch składają,
 Gdy się mnożą, rośnie życie,
 Psuje się, umniejsza skrycie
 Kiedy czucia przemijają.

Po co tak smutne marzenie?
 Rzućmy je; tutaj nasz wzgórek,
 Tu nasze zblakłe zielenie!
 Niechaj z błędnym lotem chimurek
 Po przeszłości myśl ulata;
 Niechaj pobuja w swobodzie,
 Pamiątką szczęścia bogata;
 Jak to skrzydełko motyle,
 Ręką wiosny malowane,
 Dzisiaj wiatrami tarzane,
 Krąży, igra jakąś chwilę
 Po tumanach i po chłodzie.
 Niechaj igra, a my siądźmy,

Jeszcze łyzy szczęścia dobądźmy,
 Niechaj łyzy szczęścia promieniem
 Cię zasępienia umilę.
 Kiedy nam losów niestałość
 Gotuje w przyszłości żalność
 Posilajmy się wspomnieniem.

Cmi się brzoza mgłą obwiana,
 Jakby kirową zasłoną;
 Jak żrenica zapłakana
 Zimną rosą listki płoną,
 I z wiatrami złośliwemi
 Rozlatują się po ziemi.
 W podobnych łzach i żalobie
 Widziałem oblubienicę:
 Po utracie oblubieńca,
 Na niedawnym jego grobie,
 Zasiewała okolicę
 Listkami ślubnego wienca.
 Jak tam boleśnie po oku
 W płacz się rozlał śmiech wesela!...
 Ja korzystałem z widoku,
 A ty!... słuchaj przyjaciela.
 Używajmy chwil co płyną,
 Używajmy nim przepłyną.
 Jutro, w godzinę, w minutę
 Może nie być jak w tej dobie;
 Jutro, w godzinę, w minutę,
 Zszedłszy się jak za pokutę,

Możem być niezdolni sobie.
 Możem zimno ścisnąć siebie,
 Obojętnie się przywitać;
 Możem o siebie nie spytać.
 Gdy więc przyjdzie, że dla ciebie
 Dłoń ta będzie bez płomienia,
 Bez duszy moje spojrzenia,
 Bez spólczucia moje słowa;
 Niech się przynajmniej wychowa
 Pamięć tego posiedzenia;
 Ach! nie niszczyj jego spomnienia!



TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO.

	Strona
Kilka słów o Ukrainie i rzezi Humańskiej	V

ZAMEK KANIOWSKI.

Część pierwsza	1
Część druga	35
Część trzecia	69
Przypisy	113

POEZYJE LIRYCZNE.

Owa Anioły	163
Wieczor	123
Matka przyroda	125
Nad płaczącym dzieckiem	127
Błędy Geniusza	129
Południe	131
Rozstanie się z przyjaciółmi	133
Porada	135
Do wysnionej kochanki	137
Do	139
Szczęście człowieka	141
Burza	143
Rozmowa z słowikiem	145
Topielec	147

	Strona
Tesknota	149
Modlitwa kochanki	152
Pożegnanie kochanki	153
Goląbek z posłaniem	154
Do mojej wierzby	156
Zagadka tkliwego	158
Roskosz wiosny	160
Do młodego poety	163
Zimowa pogoda	167
Przeznaczenie Geniusza	169
Moja piosenka	171
Dwie gwiazdy	172
Gwiazdy niezapominki	173
Brzoza i źródło	175
Wianek przyjaźni	177

POEZYE LIRYCZNE

177	Dwa Anielskie
178	Wiosna
179	Młoda przegrana
180	Kochanek i dziecko
181	Wiosna
182	Kochanek i dziecko
183	Wiosna
184	Kochanek i dziecko
185	Wiosna
186	Kochanek i dziecko
187	Wiosna
188	Kochanek i dziecko
189	Wiosna
190	Kochanek i dziecko
191	Wiosna
192	Kochanek i dziecko
193	Wiosna
194	Kochanek i dziecko
195	Wiosna
196	Kochanek i dziecko
197	Wiosna

Wytłoczono u J. P. Sollingera w Wiedniu.

Введение	190
История культуры	191
Поэзия и проза	192
Драматургия	193
Музыка	194
Живопись	195
Архитектура	196
Литература	197
Наука	198
Искусство	199
Общество	200
Экономика	201
Политика	202
Суд	203
Военное дело	204
Служба	205
Семья	206
Образование	207
Здоровье	208
Смерть	209
Итого	210